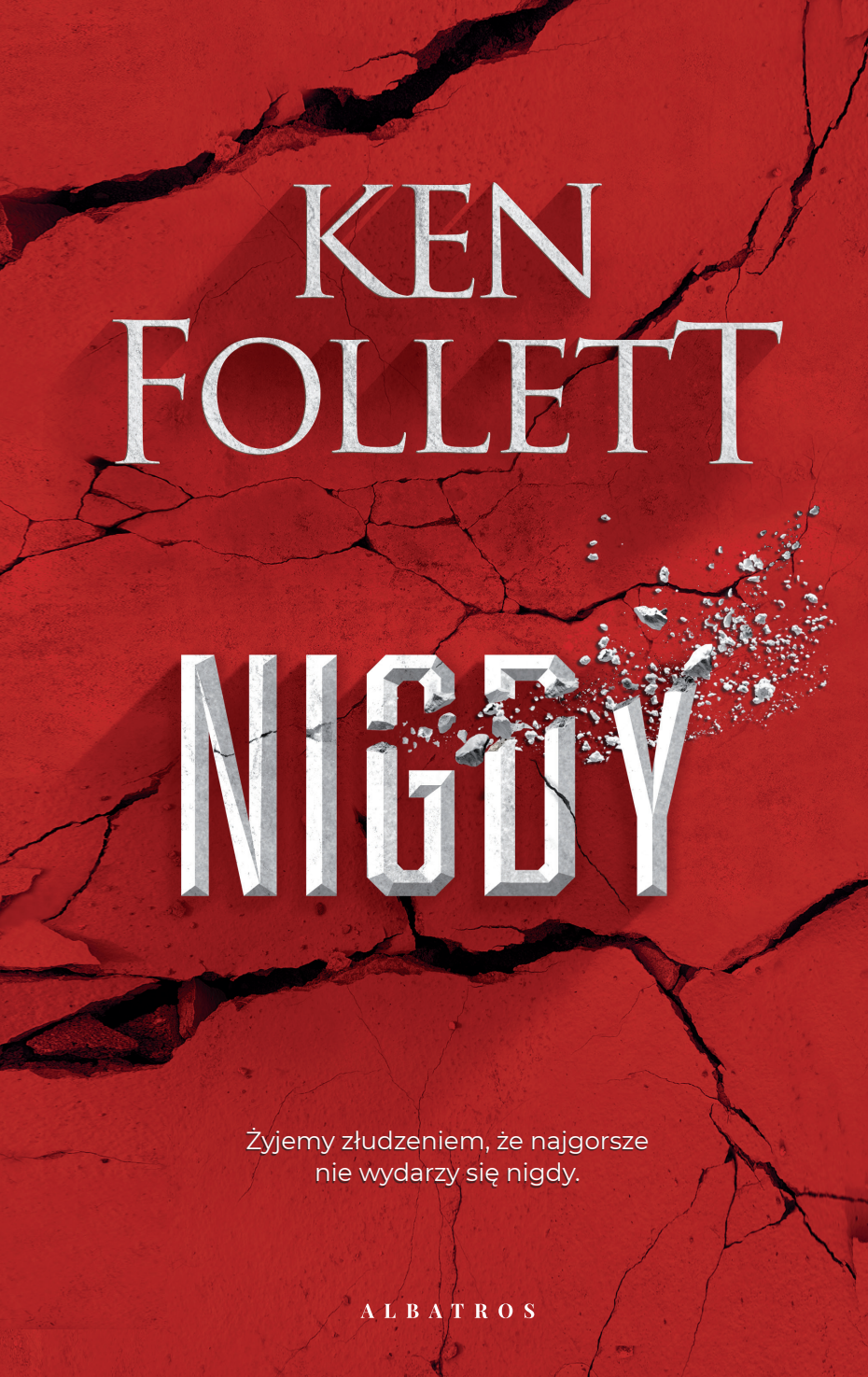




KEN
FOLLETT

NIGDY

Żyjemy złudzeniem, że najgorsze
nie wydarzy się nigdy.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
NEVER

Copyright © Ken Follett 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Janusz Ochab 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Jonas Weinitschke/Shutterstock.com (*mapa*),
komkrit Preechachanwate/Shutterstock.com (*pęknięcia*),
fluke samed/Shutterstock.com (*pęknięcia*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Tal Goretsky

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



PROLOG

Przez wiele lat James Madison mógł szczycić się tym, że był najniższym w historii prezydentem Stanów Zjednoczonych, mierzył bowiem równo sto sześćdziesiąt dwa centymetry. Potem jego rekord pobiła prezydent Pauline Green, która miała równo metr pięćdziesiąt wzrostu. Lubiła podkreślać, że James Madison pokonał w wyborach prezydenckich DeWitta Clintona, który był od niego prawie o trzydzieści centymetrów wyższy.

Pauline Green dwukrotnie odkładała wizytę w Krainie Manczkinów. Zamierzała jeździć tam co roku podczas całej swej kadencji, ale zawsze wypadało coś ważniejszego. Tym razem jednak czuła, że musi się tam wybrać. Był łagodny wrześnieiowy poranek trzeciego roku jej prezydentury.

Ćwiczenia przewidziane na ten dzień były częścią próbnej procedury bezpieczeństwa, która miała przypominać członkom rządu, co powinni robić w razie nagłego wypadku. Udając, że Stany Zjednoczone stały się obiektem ataku, Green wyszła szybko z Gabinetu Owального na południowy trawnik Białego Domu.

Tuż za nią podążało kilka ważnych osób, które rzadko oddalały się od niej na większą odległość: jej doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, osobisty sekretarz, dwaj ochroniarze z Secret Service oraz młody kapitan amerykańskiej armii, który niósł nazywaną „atomową futbolówką” skórzaną walizkę zawierającą wszystko, czego potrzebowała do rozpoczęcia wojny nuklearnej.

Helikopter należał do całej floty podobnych maszyn; ten, którego używała danego dnia, nazywany był Marine One.

Przy wejściu do maszyny jak zawsze stał na baczność żołnierz piechoty morskiej; prezydent zbliżyła się do trapu i wbiegła po nim lekkim krokiem.

Kiedy po raz pierwszy leciała helikopterem, jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej, było to bardzo niemiłe doświadczenie. Wciąż pamiętała twarde stalowe siedzenia w ciasnym wnętrzu i hałas, który uniemożliwiał normalną rozmowę. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej. Wnętrze helikoptera – z wygodnymi fotelami obitymi jasnobrązową skórą, klimatyzacją i małą łazienką – przypominało kabinę prywatnego odrzutowca.

Obok prezydent usiadł doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Gus Blake. Ten potężny Afroamerykanin z krótkimi siwymi włosami był emerytowanym generałem. Roztaczał wokół siebie aurę pokrzepiającej siły. Miał pięćdziesiąt pięć lat, o pięć więcej niż Pauline Green. Podczas kampanii wyborczej był kluczowym członkiem jej zespołu, a teraz uchodził za jej najbliższego współpracownika.

– Dziękuję, że to robisz – powiedział, gdy wystartowali. – Wiem, że nie chciałaś.

Miał rację. Irytowała ją ta bezproduktywna przerwa w pracy i chciała ją mieć jak najszybciej za sobą.

– To jeden z tych obowiązków, które po prostu trzeba wypełnić – odparła.

Podróż nie trwała długo. Gdy helikopter schodził do lądowania, Pauline przyjrzała się swojemu odbiciu w podręcznym lusterku. Jej blond włosy, przycięte na wysokości brody, zostały starannie ułożone, makijaż był dyskretny. Miała ładne orzechowe oczy, ciepłe i pełne współczucia, którego nigdy nie ukrywała, choć jej usta zaciskały się czasem w prostą linię nadającą twarzy wyraz bezwzględnej determinacji. Zamknęła lusterko z cichym trzaskiem.

Wylądowali przy kompleksie hal magazynowych na obrzeżach jednego z miast stanu Maryland. Oficjalna nazwa tego miejsca brzmiała: Rządowe Archiwum Materiałów Dodatkowych Nr 2, lecz nieliczni wtajemniczeni, którzy znali jego prawdziwą funkcję, nazywali je Krainą Manczkinów, bo tam właśnie trafiła porwana przez tornado Dorotka z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

Kraina Manczkinów była tajemnicą. Wszyscy wiedzieli o

kompleksie Raven Rock Mountain: o podziemnym bunkrze, w którym zamierzali się ukryć wojskowi dowódcy w czasie wojny nuklearnej. Był to ważny ośrodek, ale nie tam miał się schronić prezydent USA. Wielu ludzi wiedziało również, że pod Wschodnim Skrzydłem Białego Domu mieści się Prezydenckie Centrum Zarządzania Kryzysowego, z którego korzystano w sytuacjach takich jak zamach z jedenastego września 2001 roku. Nie był to obiekt zaprojektowany i przygotowany na długotrwały postapokaliptyczny pobyt.

W Krainie Manczkinów mogło się utrzymać przy życiu sto osób nawet przez rok.

Panią prezydent przywitał generał Whitfield. Był to pyzaty, pulchny mężczyzna pod sześćdziesiątkę, sympatyczny i zupełnie pozbawiony wojskowej agresji. Pauline była przekonana, że w najmniejszym choćby stopniu nie interesuje go zabijanie wrogów – do czego przecież z założenia służy wojsko. Być może właśnie ze względu na ten brak wojowniczości otrzymał tę posadę.

Rządowe Archiwum Materiałów Dodatkowych Nr 2 rzeczywiście pełniło funkcję magazynu; strzałki z napisami kierowały dostawy do doku ładunkowego. Whitfield przeprowadził całą grupę przez małe boczne drzwi i dopiero tam kompleks nabrał całkiem innego charakteru.

Stanęli przed potężnymi podwójnymi drzwiami, które przywodziły na myśl wejście do więzienia o maksymalnie zaostzonych rygorach bezpieczeństwa.

Weszli do przytłaczająco ciasnego niskiego pomieszczenia. Ściany wydawały się tu przesunięte do środka, jakby były metrowej grubości. Powietrze miało zatęchły, nieświeży posmak.

– To pomieszczenie odporne na wybuchy. Służy głównie chronieniu wind – wyjaśnił Whitfield.

Gdy wsiedli do kabiny, Pauline pozbyła się irytującego wrażenia, że bierze udział w ćwiczeniu, które nie ma większego sensu. Zaczęła nabierać przekonania, że sprawa jest poważna.

– Za pani pozwoleniem, pani prezydent, zjedziemy na sam dół, a potem wrócimy na górę – powiedział Whitfield.

– Zgoda, panie generale, dziękuję.

– Pani prezydent, ta placówka zapewnia pani

stuprocentowe bezpieczeństwo, na wypadek gdyby Stany Zjednoczone spotkało którekolwiek z takich zagrożeń jak pandemia, katastrofa naturalna... na przykład uderzenie dużego meteorytu w Ziemię... zamieszki lub istotne niepokoje społeczne, zwycięska inwazja wrogich sił konwencjonalnych, cyberatak albo wojna atomowa – oznajmił z dumą Whitfield, kiedy winda ruszyła.

Jeśli ta lista potencjalnych katastrof miała uspokoić Pauline, to przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego. Przypomniała jej, że koniec cywilizacji jest prawdopodobny i że być może będzie musiała się ukrywać w tej dziurze w ziemi, by potem ratować resztki ludzkiej rasy.

Pomyślała, że chyba wołałaby od razu zginąć na powierzchni.

Kabina opadała dość szybko i pokonała dużą odległość, nim zwolniła. Gdy w końcu znieruchomiała, Whitfield powiedział:

– W razie problemów z windą, zawsze można skorzystać ze schodów.

Prawdopodobnie miał to być niewinny żarcik, więc młodszy członkowie grupy roześmiali się, myśląc o tym, ile stopni trzeba pokonać, by wyjść na górę; Pauline pamiętała jednak, jak długo musieli iść po schodach ludzie uwięzieni w płonącym World Trade Center, i nawet się nie uśmiechnęła. Zauważyła, że Gus Blake również nie jest rozbawiony.

Ściany pomieszczeń na dole pokryto kojącą zielenią, miłym dla oka kremowym odcieniem bieli i relaksującym różem, wciąż jednak był to podziemny bunkier. Ta nieprzyjemna świadomość towarzyszyła jej przez cały czas, gdy oprowadzano ją po prezydenckim apartamencie, koszarach z rzędami prycz, szpitalu, sali gimnastycznej, kawiarni i supermarkecie.

Sala konferencyjna była repliką Sali Dowodzenia – pomieszczenia zarządzania kryzysowego w podziemiach Białego Domu – wyposażoną w długi stół ciągnący się niemal przez całą długość pomieszczenia oraz ustawione po obu stronach krzesła dla doradców. Na ścianach wisiały duże monitory.

– Możemy tu przysyłać wszystkie dane wizualne, do których ma pani dostęp w Białym Domu, i to równie szybko

– tłumaczył Whitfield. – Możemy oglądać wszystkie miasta na świecie, korzystając z ich monitoringu ulicznego i kamer ochrony. Mamy radar wojskowy przekazujący dane w czasie rzeczywistym. Jak pani wie, zdjęcia satelitarne docierają na Ziemię po kilku godzinach, ale otrzymujemy je w tym samym czasie co Pentagon. Możemy odbierać wszystkie stacje telewizyjne działające na świecie, co może być przydatne w tych rzadkich sytuacjach, gdy CNN albo Al-Dżazira otrzymują jakieś informacje wcześniej niż służby bezpieczeństwa. I będziemy też mieli zespół lingwistów, którzy natychmiast przygotują napisy do programów informacyjnych w obcych językach.

Na poziomie technicznym znajdowała się elektrownia ze zbiornikiem paliwa wielkości jeziora, systemy grzewcze i chłodzące oraz zbiornik mieszczący dwadzieścia milionów litrów wody, zasilany z podziemnego źródła. Pauline nigdy nie cierpiała na klaustrofobię, ale nagle zrobiło jej się słabo, bo wyobraziła sobie, że tkwi w tym miejscu, podczas gdy świat na zewnątrz legł w gruzach. Uświadomiła sobie, że z trudem łąpie oddech.

Jakby czytając w jej myślach, Whitfield dodał:

– Powietrze dostarczamy z zewnątrz przez specjalne filtry, które są odporne na wybuchy, a przy tym wychwytyją wszystkie zanieczyszczenia przenoszone przez powietrze, zarówno chemiczne, jak i biologiczne lub radioaktywne.

Świetnie, pomyślała Pauline. Ale co z milionami ludzi na powierzchni, którzy nie będą mieli żadnej ochrony?

– Pani prezydent, pani biuro sugerowało, że nie będzie pani chciała zjeść lunchu przed odlotem, ale przygotowaliśmy coś na wypadek, gdyby zmieniła pani zdanie – powiedział Whitfield pod koniec obchodu.

Zawsze tak to wyglądało. Każdy chętnie spędziłby godzinę na swobodnej pogawędce z prezydentem. Zrobiło jej się trochę żal tego człowieka, który tkwił pod ziemią na tym ważnym, choć ukrytym posterunku, jednak jak zawsze musiała stłumić ten odruch współczucia i trzymać się harmonogramu.

Pauline rzadko traciła czas na jedzenie z kimkolwiek poza jej rodziną. Uczestniczyła w spotkaniach, podczas których wymieniano informacje i podejmowano decyzje, a potem przenosiła się na następne spotkanie. Znacznie zmniejszyła

liczbę oficjalnych bankietów, w których musiała uczestniczyć jako prezydent.

„Jestem przywódczynią wolnego świata – mawiała. – Po co miałabym przez trzy godziny rozmawiać z królem Belgii?”

– To bardzo miłe z pana strony, panie generale, ale muszę wracać do Białego Domu – odpowiedziała.

Po powrocie do helikoptera zapięła pas bezpieczeństwa, po czym wyjęła z kieszeni plastikowy pojemnik wielkości małego portfela. Nazywano ten przedmiot Herbatnikiem. Można go było otworzyć, tylko rozbijając plastik. W środku znajdowała się karta z serią liter i cyfr: kodami potrzebnymi do autoryzacji ataku atomowego. Prezydent musiał przez cały dzień nosić Herbatnik ze sobą, a w nocy trzymać go przy łóżku.

– Bogu dzięki, że zimna wojna już się skończyła – zauważył Gus Blake, patrząc na Pauline.

– To upiorne miejsce przypomniało mi, że wciąż żyjemy na krawędzi – powiedziała.

– Musimy tylko dopilnować, by nigdy tego nie użyto.

Odpowiadała za to w stopniu większym niż ktokolwiek inny na świecie. Czasami czuła na barkach to brzemie. Dziś wydawało się wyjątkowo ciężkie.

– Jeśli kiedykolwiek wrócę do Krainy Manczkinów, będzie to oznaczało, że zawiodłam.

DEFCON 5

NAJNIŻSZY STAN GOTOWOŚCI

ROZDZIAŁ 1

Widziany z samolotu, samochód wyglądałby jak chrząszcz pełznący powoli przez niezmierzoną plażę, lśniący blaskiem słońca odbitym od wypolerowanego czarnego pancerza. W rzeczywistości jechał z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, maksymalną bezpieczną prędkością na drodze, w której roilo się od dziur i szczelin. Nikt nie chciałby złapać gumy na Saharze.

Droga prowadziła na północ z Ndżameny, stolicy Czadu, w kierunku jeziora Czad i największej oazy na Saharze. Dokoła rozciągała się płaska, sięgająca po horyzont równina pokryta piaskiem i skałami. Tu i ówdzie pojawiały się wysuszone bladożółte krzewy i rozrzucone kamienie. Wszystko miało ten sam szarobrazowy kolor, posępny i monotony niczym krajobraz księżycowy.

Tamara Levit pomyślała, że pustynia niepokojąco przypomina kosmos, a samochód rakietę. Gdyby coś popsuło się w jej skafandrze kosmicznym, mogłaby umrzeć. Uśmiechnęła się lekko, bo uznała to porównanie za zbyt wydumane. Mimo to zerknęła na tył samochodu, gdzie wieżli dwa duże plastikowe pojemniki z wodą, prawdopodobnie w wystarczającej ilości, by utrzymać ich przy życiu do czasu przybycia pomocy.

Samochód był amerykański, zaprojektowany z myślą o jeździe po trudnym terenie, z dużym prześwitem i niskim położeniem skrzyni biegów. Mimo przyciemnianych okien i ciemnych okularów Tamary światło odbijało się od betonu i raziło ją w oczy.

Wszyscy czterej pasażerowie mieli ciemne okulary.

Kierowca Ali, tubylec, urodził się i wychował w Czadzie. W mieście nosił niebieskie džinsy i T-shirt, ale dziś włożył galabiję – sięgającą ziemi szatę – a głowę luźno owinał bawełnianą chustą, bo takie właśnie stroje noszono tu tradycyjnie dla ochrony przed bezlitosnym słońcem.

Obok Alego siedział amerykański żołnierz, kapral Peter Ackerman. Na kolanach trzymał niedbale broń, lekki karabin z krótką lufą, standardowe wyposażenie w amerykańskiej armii. Miał jakieś dwadzieścia lat i był jednym z tych młodych mężczyzn, którzy wydają się przepełnieni radością i życzliwością. Tamarze, która zbliżała się do trzydziestki, wydawało się niemal absurdem, że tak młody człowiek nosi śmiertelnie ostrą broń. Musiała jednak przyznać, że Peterowi nie brakuje pewności siebie – odważył się nawet zaprosić ją na randkę.

– Lubię cię, Pete, ale jesteś dla mnie zdecydowanie za młody – odpowiedziała.

Na tylnym siedzeniu obok Tamary siedział Tabdar „Tab” Sadoul, attaché misji Unii Europejskiej w Ndżamenie. Lśniąco brązowe włosy Taba miały modną długość do ramion, poza tym jednak, w spodniach khaki i błękitnej koszuli, wyglądał jak dyrektor dużej firmy. Podwinięte rękawy odsłaniały brązowe nadgarstki.

Tamara współpracowała z amerykańską ambasadą w Ndżamenie. Dziś miała na sobie takie same ubrania, jakie zwykle nosiła do pracy: sukienkę z długimi rękawami wypuszczoną na spodnie i chustę, która okrywała jej ciemne włosy. Był to praktyczny strój, który nikogo nie urażał, a dzięki brązowym oczom i oliwkowej cerze Tamara nie wyglądała na cudzoziemkę. W kraju o wysokiej przestępczości, jak Czad, lepiej się nie wyróżniać, zwłaszcza jeśli się jest kobietą.

Od kilku minut wpatrywała się w licznik kilometrów. Podróżowali od kilku godzin i zbliżali się już do celu. Tamara denerwowała się czekającym ją spotkaniem. Wiele od niego zależało, łącznie z jej karierą.

– Oficjalnie bierzemy udział w misji rozpoznawczej – powiedziała. – Wie pan coś o jeziorze?

– Chyba wystarczająco dużo – odpowiedział jej Tab. – Rzeka Szari wypływa ze źródła w Afryce Środkowej, pokonuje odległość około dwustu siedemdziesięciu kilometrów i kończy

się tutaj. Jezioro Czad utrzymuje przy życiu kilka milionów ludzi w czterech krajach: Nigrze, Nigerii, Kamerunie i Czadzie. To głównie drobni rolnicy, hodowcy bydła i rybacy. Ich ulubioną rybą jest okoń nilowy, który może mieć nawet dwa metry długości i ważyć do dwustu kilogramów.

Tamara pomyślała, że Francuzi mówiący po angielsku brzmią tak, jakby próbowali zaciągnąć kobietę, z którą rozmawiają, do łóżka. Być może próbują to robić.

– Teraz, kiedy woda jest taka płytka, nie poławiają już chyba dużo okoni – zauważyła.

– Ma pani rację. Poza tym kiedyś jezioro miało powierzchnię dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, a teraz ma zaledwie tysiąc trzysta. Wielu ludziom grozi głód.

– Co pan myśli o chińskim planie?

– Kanale o długości dwóch i pół tysiąca kilometrów, który sprowadziłby tu wodę z rzeki Kongo? Prezydentowi Czadu bardzo się to podoba, co całkiem zrozumiałe. Być może nawet uda się to zrealizować... Chińczycy dokonują zdumiewających rzeczy. Ale budowa nie będzie tania i na pewno trochę potrwa.

Zarówno waszyngtońscy szefowie Tamary, jak i paryscy zwierzchnicy Taba przyglądali się chińskim inwestycjom w Afryce z mieszkanką pełnego podziwu zdumienia i głębokiej nieufności. Pekin wydawał miliardy i realizował plany, ale do czego tak naprawdę dążył?

Kątem oka Tamara dojrzała w oddali jakiś błysk, jakby promienie słońca odbite od powierzchni wody.

– Zbliżamy się do jeziora? – spytała. – Czy to było tylko złudzenie?

– Na pewno jesteśmy już blisko – odparł Tab.

– Proszę wypatrywać zakrętu w lewo – zwróciła się do Alego, a potem powtórzyła to samo zdanie po arabsku. I ona, i Tab znali biegle arabski i francuski, dwa główne języki używane w Czadzie.

– *Voilà* – rzucił Ali.

Samochód zwolnił, zbliżając się do skrzyżowania oznaczonego tylko stertą kamieni.

Skręcili z głównej szosy na drogę wysypaną żwirem. Miejscami trudno ją było odróżnić od powierzchni pustyni,

lecz Ali wydawał się pewny siebie. W oddali Tamara dojrzała plamy zieleni, lekko rozmyte w rozpalonym powietrzu. Przypuszczała, że to drzewa i krzewy rosnące nad wodą.

Po chwili zobaczyła też szkielet dawno już porzuconego pick-upa Peugeot, rdzewiejącą karoserię, bez kół i szyb. Wkrótce pojawiły się też inne oznaki ludzkiej bytności: wielbłąd przywiązany do krzewu, kundel ze szczurem w pysku, coraz liczniejsze puszki po piwie, łyse opony i podarte torebki foliowe.

Minęli ogródek warzywny – rośliny posadzone w równych rzędach i podlewane z konewki przez mężczyznę – i dotarli do wioski bez dróg czy ulic, na którą składało się pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt rozrzuconych chaotycznie domów. W większości były to tradycyjne jednoizbowe chaty zbudowane na planie okręgu, o ścianach z cegieł z suszonego błota i wysokich, spiczastych dachach z liści palmowych. Ali jechał powolnym, spacerowym tempem, przeciskając się między domami i unikając bosych dzieci, rogatych kóz i ognisk, przy których przyrządzano jedzenie.

W końcu zatrzymał samochód i oznajmił:

- *Nous sommes arrivés*. Dojechaliśmy.
- Pete, mógłbyś położyć karabin na podłodze? – poprosiła Tamara. – Chcemy wyglądać jak grupa ekologów.
- Jasne, proszę pani. – Kapral położył broń przy stopach, skrywając kolbę pod siedzeniem.
- Kiedyś to była bogata wioska rybacka – poinformował ich Tab. – Spójrzcie, jak daleko jest stąd teraz do brzegu: ze dwa kilometry.

Tamara jeszcze nigdy nie widziała podobnej nędzy. Przerazająco biedna osada sąsiadowała z szeroką płaską plażą, która wcześniej była zapewne pod wodą. Wiatraki, które niegdyś pompowały wodę na pola, teraz stały z dala od jeziora, bezużytecznie obracając skrzydłami, porzucone i zaniedbane. Stado wychudzonych owiec pasło się na skrawku trawy, pilnowane przez małą dziewczynkę z patykiem w ręce. Tamara patrzyła na skrzące się w oddali jezioro. Przy brzegu rosły palmy iglaste i krzewy. Jezioro było upstrzone wieloma płaskimi wyspami. Wiedziała, że niektóre z nich, te największe, służą za kryjówki gangom terrorystów, którzy nękają okolicznych mieszkańców, rabując ich nędzny dobytek

i bijąc każdego, kto próbuje im się sprzeciwić. Ludzie, którzy i tak ogromnie już zbiednieli, pozostawali bez środków do życia.

– Wiecie, co robią te kobiety w jeziorze? – spytał Tab.

Na płycznach stało kilka kobiet, które przeciągały po powierzchni wody wielkimi misami. Tamara знаła odpowiedź na pytanie Tab.

– Zbierają z powierzchni jadalne algi. Spirulinę, ale oni używają nazwy *dihé*. Odfiltrują ją, a potem suszą na słońcu.

– Próbowала pani tego?

– Smakuje okropnie, ale podobno jest bardzo pożywne. Spirulinę można kupić w sklepach ze zdrową żywnością.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nie wydaje mi się, żeby odpowiadało to francuskim podniebieniom.

– Pan wie to najlepiej.

Tamara otworzyła drzwi samochodu i opuściła jego klimatyzowane wnętrze. Rozpalone powietrze niemal parzyło jej skórę. Naciągnęła chustę mocniej do przodu, by osłonić twarz, i zrobiła komórką kilka zdjęć.

Tab wysiadł, włożył na głowę słomiany kapelusz z szerokim rondem i stanął obok niej. Wyglądał dość komicznie w tym kapeluszu, ale najwyraźniej się tym nie przejmował. Był elegancki, ale nie próżny. Podobało jej się to.

Przez chwilę oboje przyglądali się wiosce. Między domami znajdowały się małe pola uprawne poprzecinane kanałami nawadniającymi. Tamara uświadomiła sobie, że wodę trzeba tu nosić z bardzo daleka, i poczuła przygnębiającą pewność, że zajmują się tym kobiety. Jakiś człowiek w galabii sprzedawał papierosy, gawędząc przyjaźnie z mężczyznami i flirtując z kobietami. Tamara rozpoznała białą paczkę ze złotą głową sfinksa: tak wyglądało opakowanie papierosów Cleopatra, najpopularniejszych w Afryce. Te zostały zapewne skradzione lub przemycone. Przed domami stało kilka motocykli i skuterów, a nawet bardzo stary volkswagen garbus. W Czadzie motocykle były najpopularniejszym środkiem transportu. Tamara zrobiła jeszcze kilka zdjęć.

Czując, jak krople potu spływają po jej ciele pod ubraniem, otarła czoło skrawkiem chusty. Tab wyjął czerwoną chustkę w białe grochy i sięgnął nią pod kołnierz swojej koszuli.

– Połowa tych domów jest pusta – zauważył.

Tamara przyjrzała się uważniej i zauważyła, że niektóre chaty się rozpadają. Dachy z liści palmowych były dziurawe, a ściany miejscami wykruszone.

– Wielu ludzi opuściło to miejsce – dodał Tab. – Przypuszczam, że wszyscy, którzy mieli dokąd wyjechać, zrobili to. Ale i tak zostało tu ładnych parę milionów. Cała ta okolica to obszar klęski żywiołowej.

Tamara skinęła głową.

– I nie tylko ta, prawda? – rzuciła. – Ten proces, pustynnienie południowych krańców Sahary, zachodzi w całej Afryce, od Morza Czerwonego po Atlantyk.

– Po francusku nazywamy ten region *le Sahel*.

– W angielskim używamy tego samego słowa, *Sahel*. – Zerknęła na samochód; silnik wciąż pracował. – Ali i Pete nie zamierzają chyba rezygnować z klimatyzacji.

– Jeśli mają choć trochę rozumu, nie powinni tego robić. – Tab wydawał się zmartwiony. – Nie widzę naszego człowieka.

Tamara również była zaniepokojona. Być może już nie żył.

– Zgodnie z instrukcją to on ma nas znaleźć – odpowiedziała jednak spokojnie. – A na razie musimy trzymać się roli, więc ruchy! Rozejrzyjmy się jeszcze trochę.

– Co?

– Rozejrzyjmy się.

– Ale co powiedziała pani wcześniej? Ruchy?

– Przepraszam. To chicagowski slang.

– Więc być może teraz jestem jedynym Francuzem, który zna to wyrażenie. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale najpierw powinniśmy złożyć wizytę grzecznościową starszym wioski.

– Może sam pan to zrobi? Oni i tak nigdy nie zwracają uwagi na kobiety.

– Jasne.

Tab ruszył na poszukiwanie wioskowej starszyny, a Tamara przechadzała się między domostwami, robiąc zdjęcia i rozmawiając z mieszkańcami po arabsku. Większość z nich uprawiała skrawek spieczonej słońcem ziemi albo miała kilka owiec czy krowę. Jedna kobieta specjalizowała się w naprawianiu sieci, ale w okolicy zostało już niewielu rybaków. Pewien mężczyzna miał piec garncarski i wypalał naczynia, tyle że mało kto miał je za co kupić. Właściwie wszyscy znajdowali się w naprawdę trudnej sytuacji.

Prowizoryczna konstrukcja złożona z czterech słupków podtrzymujących siatkę ze sznurka służyła za suszarkę do ubrań. Młoda kobieta, obserwowana uważnie przez chłopczyka, pewnie dwulatka, właśnie wieszała na niej pranie. Wszystkie jej ubrania utrzymane były w jaskrawych odcieniach pomarańcza i żółci, bo takie właśnie kolory uwielbiali mieszkańcy Czadu. Powiesiła ostatnią rzecz, posadziła sobie chłopca na biodrze i odezwała się do Tamary staranną szkolną francuszczyzną z silnym arabskim akcentem. Zaprosiła ją do swojego domu.

Miała na imię Kiah, a jej syn Naji. Choć wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, była wdową, uderzająco piękną, z czarnymi brwiami, mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi i zakrzywionym saraceńskim nosem. W jej ciemnych oczach krył się wyraz determinacji i siły. Tamara pomyślała, że Kiah może być naprawdę interesującą osobą.

Weszła za nią do chaty przez nisko sklepione drzwi i zdjęła ciemne okulary, przechodząc z blasku słońca w półmrok. Wnętrze było ciasne i wypełnione mocnymi aromatami. Tamara poczuła pod stopami gruby koc; w powietrzu unosiły się zapachy cynamonu i kurkumy. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, dojrzała kilka koszy do przechowywania różnych produktów i poduszki na podłodze, ale niczego, co mogłaby uznać za meble, żadnych krzeseł czy szafek. Po jednej stronie leżały dwa materace służące za łóżka ze starannie ułożonym stosem grubych wełnianych koców w czerwone i niebieskie pasy, przygotowanych na zimne pustynne noce.

Większość Amerykanów uznałaby to za skrajnie biedne domostwo, ale Tamara wiedziała, że jest nie tylko wygodne, ale też odrobinę zamożniejsze od przeciętnego. Kiah wydawała się dumna, gdy poczęstowała ją butelką lokalnego piwa o nazwie Gala, które chłodziło się w misce z wodą. Tamara wiedziała, że uprzejmość nakazuje docenić taki przejaw gościnności – a poza tym i tak chciało jej się pić.

Obraz Najświętszej Marii Panny w taniej ramce świadczył o tym, że Kiah jest chrześcijanką, jak mniej więcej czterdzieści procent mieszkańców Czadu.

– Przypuszczam, że chodziła pani do szkoły prowadzonej przez zakonnice – powiedziała Tamara. – I tam nauczyła się pani francuskiego.

– Tak.

– Świetnie pani sobie radzi. – Nie do końca było to prawdą, ale starała się być miłą.

Kiah poprosiła ją, by usiadła na kocu. Nim Tamara skorzystała z zaproszenia, przeszła jeszcze do drzwi i mrużąc oczy w słońcu, wyjrzała nerwowo na zewnątrz. Popatrzyła w stronę samochodu. Sprzedawca papierosów pochylał się do okna kierowcy, trzymając w dłoni karton cleopatr. Dostrzegła też Alego w chuście na głowie, który pstryknął lekceważąco palcami, bo najwyraźniej nie chciał kupować tanich papierosów. Potem sprzedawca powiedział coś, co radykalnie odmieniło zachowanie kierowcy. Ze skruszoną miną wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. Gdy sprzedawca wsiadł do auta, Ali szybko je zamknął.

Więc to on, pomyślała Tamara. Całkiem skuteczne przebranie. Dałam się oszukać.

Odetchnęła z ulgą. Teraz wiedzieli już przynajmniej, że ich człowiek żyje.

Rozejrzała się. Żaden z mieszkańców wioski nie zwrócił uwagi na sprzedawcę wsiadającego do samochodu. Teraz był już niewidoczny, ukryty za przyciemnianymi szybami.

Skinęła głową z zadowoleniem i wróciła do wnętrza domu.

– Czy to prawda, że każda biała kobieta ma siedem sukienek i służącą, która pierze jej na każdy dzień inną? – spytała Kiah.

Tamara postanowiła odpowiedzieć po arabsku, bo francuski młodej kobiety mógł być niewystarczający.

– Wiele amerykańskich i europejskich kobiet ma mnóstwo ubrań – powiedziała po chwili zastanowienia. – Ile konkretnie, zależy od tego, czy jest biedna, czy bogata. Siedem sukienek nie jest niczym nadzwyczajnym. Biedne kobiety mają po dwie albo trzy. Bogate nawet po pięćdziesiąt.

– I wszystkie mają służące?

– Biedne rodziny nie mają służących. Kobieta, którą pracuje w dobrze płatnym zawodzie, lekarka czy prawniczka, zwykle zatrudnia kogoś do sprzątania domu. Bogate rodziny mają wielu służących. Dlaczego chcesz to wszystko wiedzieć?

– Zastanawiam się nad wyjazdem do Francji.

Tamara zdążyła się już tego domyślić.

– Powiedz mi dlaczego – poprosiła.

Kiah milczała przez chwilę, zbierając myśli. Gestem zaproponowała Tamarze drugie piwo, ta jednak pokręciła głową. Musiała zachować czujność.

– Mój mąż, Salim, był rybakiem, miał własną łódź – odezwała się w końcu Kiah. – Wypływał na jezioro z trzema, czasem czterema mężczyznami i potem dzielili się połowem. Salim zabierał połowę, bo był właścicielem łodzi i wiedział, gdzie najlepiej łowić. Dlatego byliśmy zamożniejsi od większości naszych sąsiadów. – Uniosła z dumą głowę.

– I co się stało? – spytała Tamara.

– Pewnego dnia do wioski przyszli džihadyści, żeby zabrać ryby Salima. Miał im wszystko oddać. Ale tego dnia złowił okonia nilowego i nie chciał go stracić. Więc zabili go, a okonia zabrali i tak. – Kiah była wyraźnie poruszona; jej szlachetne rysy wykrzywił grymas smutku. Umilkła na moment, by zapanować nad emocjami. – Przyjaciele Salima przynieśli mi jego ciało.

Tamara była poruszona, ale nie zaskoczona. Dżihadyści byli nie tylko islamskimi terrorystami, ale też zwykłymi bandytami. Jedno łączyło się z drugim. I żerowali na wyjątkowo biednych ludziach. Ta świadomość doprowadzała ją do wściekłości.

– Kiedy już pochowałam męża – mówiła dalej Kiah – zaczęłam się zastanawiać, co zrobić. Nie umiem sterować łodzią, nie wiem, gdzie są ryby, a zresztą mężczyźni i tak nie zaakceptowaliby mnie jako swojego szefa. Więc sprzedałam łódź. – Na jej twarzy pojawił się na moment wyraz złości. – Niektórzy próbowali ją kupić za mniej, niż jest warta, ale nie chciałam robić z nimi interesów.

Tamara wyczuwała, że działaniem tej młodej kobiety kieruje żelazna determinacja.

– Ale pieniądze za łódź kiedyś się skończą. – W głosie Kiah pojawiła się nuta desperacji.

– A co z twoimi rodzicami? – spytała Tamara, która wiedziała, że w tym kraju rodzina jest bardzo ważna.

– Nie żyją. A moi bracia wyjechali do Sudanu, pracują tam na plantacji kawy. Mąż siostry Salima powiedział, że jeśli sprzedam mu tanio łódź, zawsze będzie się opiekował mną i Najim. – Kiah wzruszyła ramionami.

– Nie ufałaś mu – domyśliła się Tamara.

- Nie chciałam sprzedawać łodzi za obietnicę.
Zdeterminowana i niegłupia, pomyślała Tamara.
- Teraz szwagrowie mnie nienawidzą – dodała Kiah.
- Więc chcesz wyjechać do Europy... nielegalnie.
- Wielu ludzi to robi.

Tak było. W miarę jak pustynia rozprzestrzeniała się na południe, setki tysięcy ludzi opuszczało Sahel w poszukiwaniu pracy i wielu spośród nich wyruszało w niebezpieczną podróż do Europy Południowej.

– To dużo kosztuje – powiedziała Kiah. – Ale pieniędzy za łódź powinno wystarczyć. – Jej głos zdradzał jednak, że tak naprawdę nie chodzi o pieniądze. Ta kobieta się bała. – Zwykle płyną do Włoch – ciągnęła. – Nie znam włoskiego, ale słyszałam, że kiedy już jesteś we Włoszech, możesz się łatwo dostać do Francji. Czy to prawda?

– Tak. – Tamara chciała jak najszybciej wrócić do samochodu, lecz czuła, że musi odpowiedzieć na jej pytania. – Przejeżdżasz tylko przez granicę. Samochodem albo pociągiem. Ale to, co planujesz, jest straszliwie niebezpieczne. Przemysłowcy ludzi są przestępcami. Mogą po prostu wziąć od ciebie pieniądze i zniknąć.

Kiah milczała; być może zastanawiała się, jak wytłumaczyć swoje życie uprzywilejowanemu gościowi z Zachodu.

– Wiem, co się dzieje, kiedy brakuje jedzenia – odezwała się po chwili. – Widziałam to. – Odwróciła wzrok i ściszyła głos. – Dziecko chudnie, ale początkowo wydaje się, że to nic poważnego. Potem zaczyna chorować. Nawet jeśli jest to jakaś zwykła choroba, która dotyka wiele dzieci, wysypka, katar czy rozwolnienie, dziecko długo nie dochodzi do siebie, a potem łapie następną chorobę. Przez cały czas jest zmęczone, często płacze, nie bawi się, tylko leży i kaszle. A potem pewnego dnia zamyka oczy i już ich więcej nie otwiera. A czasami matka jest zbyt zmęczona, żeby płakać.

Tamara spojrzała prosto w jej wypełnione łzami oczy.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Życzę ci szczęścia.
Kiah znów się ożywiła.

– To miło, że odpowiedziała pani na moje pytania.

– Muszę już iść – oznajmiła Tamara, wstając; czuła się niezręcznie. – Dziękuję za piwo. I proszę, postaraj się dowiedzieć czegoś więcej o tych przemysłowcach, zanim dasz

im pieniądze.

Młoda kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową, reagując uprzejmie na ten banal. Wie, że musi uważać na swoje pieniądze, znacznie lepiej niż ja, pomyślała ze smutkiem Tamara.

Wyszła na zewnątrz i wpadła na Taba wracającego do samochodu. Zbliżało się południe i mieszkańcy wioski zniknęli; prawdopodobnie pochowali się w domach przed upałem. Zwierzęta kryły się w cieniu pod prowizorycznymi daszkami, które zbudowano zapewne w tym właśnie celu.

Tamara przystanęła obok Taba; poczuła lekki zapach świeżego potu na czystej skórze i aromat drewna sandałowego.

- Jest w samochodzie – rzuciła.
- Gdzie się ukrywał?
- To był ten sprzedawca papierosów.
- Nabrał mnie.

Dotarli do samochodu i wsiedli do środka. Klimatyzowane powietrze wydawało się przez moment arktycznie zimne. Tamara i Tab usiedli po obu stronach sprzedawcy papierosów, który roztaczał wokół siebie taką woń, jakby nie mył się już od wielu dni. Wciąż trzymał w ręce karton papierosów.

– I jak, znalazłeś Hufre? – spytała Tamara, nie mogąc się powstrzymać.

*

Sprzedawca papierosów nazywał się Abdul John Haddad i miał dwadzieścia pięć lat. Urodził się w Libanie, a wychował w New Jersey; był obywatelem amerykańskim i pracownikiem CIA.

Cztery dni wcześniej w sąsiadującym z Czadem Nigrze jechał wprawdzie poobijany, ale całkiem sprawnym terenowym ffordem w górę wysokiego zbocza, w pustynnej północnej części miasta Maradi.

Nosił buty o grubych podeszwach. Były nowe, lecz przygotowano je tak, by wyglądały na stare i mocno zużyte; podrapano je i powyginano, włożono niedopasowane sznurówki i poplamiono skórę. W każdej z podeszew umieszczono mały schowek; w jednym krył się nowoczesny telefon, a w drugim urządzenie, które odbierało tylko jeden – specjalny – sygnał. Dla zachowania pozorów Abdul nosił w

kieszeni inny, tani, aparat telefoniczny.

Urządzenie leżało teraz na siedzeniu obok niego i co chwila na nie spoglądał. Potwierdzało, że partia kokainy, którą śledził od jakiegoś czasu, zatrzymała się gdzieś przed nim. Być może pojazd, który ją wiozł, zatrzymał się po prostu w oazie, na stacji paliw, Abdul miał jednak nadzieję, że jest to raczej obóz należący do Państwa Islamskiego Wielkiej Sahary, zwanego w skrócie, od angielskiej nazwy, ISGS.

CIA interesowali bardziej terroryści niż przemytnicy narkotyków, ale w tej części świata byli to ci sami ludzie. Lokalne grupy, zrzeszone luźno pod sztandarem ISGS, finansowały swoją działalność polityczną dzięki dwóm lukratywnym biznesom – przemytowi narkotyków i przemytowi ludzi. Zadaniem Abdula było ustalenie, jaką trasą wędrują narkotyki, bo mogła go doprowadzić do kryjówek terrorystów.

Człowiek uważany za przywódcę ISGS – i za jednego z najgorszych masowych morderców współczesności – był znany jako Al-Farabi. Niemal z pewnością był to pseudonim, bo tak samo nazywał się pewien średniowieczny filozof. Lidera ISGS nazywano również Afgańczykiem, ponieważ był weteranem wojny w Afganistanie. Z raportów wynikało, że jego wpływy sięgają bardzo daleko: choć jego baza znajdowała się w Afganistanie, odbył podróż przez Pakistan do zbuntowanej chińskiej prowincji Sinciang, gdzie nawiązał kontakt z Partią Wyzwolenia Wschodniego Turkiestanu, grupą terrorystyczną walczącą o autonomię dla Ujgurów, grupy etnicznej, której członkowie byli w większości muzułmanami.

Obecnie Al-Farabi przebywał gdzieś w Afryce Północnej i gdyby Abdulowi udało się go znaleźć, można by zadać ISGS bardzo poważny – być może nawet śmiertelny – cios.

Wcześniej Abdul studiował uważnie zdjęcia wykonane z dużej odległości, portrety sporządzone przez artystów, portrety pamięciowe i opisy, był więc pewien, że rozpoznałby Al-Farabiego: wysoki mężczyzna z siwymi włosami i czarną brodą; często wspomniano również o jego przeszywającym spojrzeniu i aurze władzy, jaką roztaczał. Gdyby Abdulowi udało się do niego zbliżyć na odpowiednią odległość, mógłby potwierdzić tożsamość terrorysty dzięki pewnemu znakowi

szczególnemu: amerykański pocisk oderwał mu połowę lewego kciuka. Al-Farabi często i z dumą pokazywał kikut, mówiąc, że Bóg uchronił go przed śmiercią, ale jednocześnie ostrzegł, by był ostrożniejszy.

Niezależnie od okoliczności Abdulowi nie wolno było go atakować; miał tylko określić jego miejsce pobytu i złożyć meldunek. Mówiono, że Al-Farabi często przebywa w kryjówce o nazwie Hufra, co oznaczało „dziurę”, lecz żadna z zachodnich służb wywiadowczych nie wiedziała, gdzie to jest.

Abdul wjechał na grzbiet wzgórza i zatrzymał samochód po drugiej stronie. Przed nim ciągnęło się długie zbocze, prowadzące ku szerokiej równinie, która migotała w rozpalonym powietrzu. Zmrużył oczy osłepione słońcem; nie nosił ciemnych okularów, bo tutejsi mieszkańcy uważali je za oznakę bogactwa, a on musiał wyglądać jak tubylec. W oddali, w odległości paru kilometrów, chyba dojrzał jakąś wioskę. Obrócił się na siedzeniu, odsunął panel w drzwiach, wyjął ze skrytki lornetkę i wysiadł z auta.

Odległy obraz, wyostrozony przez szkła lornetki, przyprawił go o szybsze bicie serca.

Zobaczył osadę złożoną z namiotów i prowizorycznych drewnianych chat. Dostrzegł też wiele samochodów, z których większość stała pod prymitywnymi zadaszeniami osłaniającymi je przed aparatami satelitów. Inne przykryto siatkami maskującymi, a sądząc po kształcie, mogły to być pojazdy z zamocowanymi na nich działami. Kilka palm świadczyło o tym, że gdzieś w pobliżu znajduje się źródło wody.

Sprawa wydawała się oczywista. To była baza paramilitarna.

I to dość ważna, jak podejrzewał Abdul. Przypuszczał, że stacjonuje tam kilkuset ludzi, a jeśli nie mylił się co do artylerii, dysponowali nie lada uzbrojeniem.

Kto wie, może była to nawet legendarna Hufra.

Podniósł prawą stopę, by wyjąć z buta telefon i zrobić zdjęcie, wcześniej jednak usłyszał warkot silnika. Od tyłu nadjeżdżał jakiś samochód, był jeszcze daleko, ale szybko się zbliżał.

Odkąd Abdul zjechał z głównej drogi, nie widział żadnego pojazdu. Ten niemal z pewnością należał do ISGS i jechał do

obozowiska.

Abdul rozejrzał się. Sam nie miałby się gdzie ukryć, nie wspominając już o samochodzie. Od trzech tygodni ryzykował, że zostanie wytropiony przez ludzi, których szpiegował, i właśnie miało to nastąpić.

Oczywiście miał przygotowaną opowieść, która tłumaczyłaby jego obecność w tym miejscu. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to ją opowiedzieć i mieć nadzieję, że w nią uwierzą.

Spojrzał na swój tani zegarek. Była druga po południu. Przypuszczał, że dżihadyści będą mniej skłonni zabić kogoś, kto odprawia modły.

Działal szybko i sprawnie. Włożył lornetkę do kryjówki za panelem drzwi. Otworzył bagażnik i wyjął wytarty stary dywanik do modłów, zatrzasnął klapę i rozłożył go na ziemi. Został wychowany w wierze chrześcijańskiej, wiedział jednak wystarczająco dużo o muzułmańskich modlitwach, by z powodzeniem udawać.

Drugą modlitwę dnia, zwaną *zuhr*, odmawiano po tym, jak słońce przeszło przez zenit, czyli pora była odpowiednia. Ułożył się we właściwej pozycji: dotykał dywanika nosem, dłońmi, kolanami i palcami stóp. Zamknął oczy.

Silnik samochodu terrorystów – prawdopodobnie pick-upa – warczał coraz głośniejsze, wspinając się na zbocze po drugiej stronie grzbietu.

Abdul przypomniał sobie nagle o urządzeniu, które zostało na siedzeniu pasażera, i zaklął pod nosem; gdyby ktoś je zobaczył, natychmiast zostałby zdemaskowany.

Zerwał się na równe nogi, otworzył drzwi po stronie pasażera i zabrał urządzenie. Dwoma palcami zwolnił zamknięcie schowka w podeszwie lewego buta; w pośpiechu upuścił urządzenie na ziemię. Podniósł je, włożył do podeszwy, zamknął schowek i ukląkł na dywaniku.

Kątem oka dojrzał, jak pick-up pokonuje grzbiet wzniesienia i zatrzymuje się nagle obok jego samochodu. Opuścił powieki.

Nie znał modlitw na pamięć, ale słyszał je dość często, by mamrotać pod nosem podobne słowa.

Drzwi pick-upa otworzyły się i zamknęły, a potem usłyszał ciężkie kroki zmierzające w jego stronę.

– Wstań – powiedział ktoś po arabsku.

Abdul otworzył oczy i zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden miał karabin, drugi pistolet w kaburze. Nieco dalej stał pick-up wyładowany workami, być może z mąką – pożywieniem dla dżihadystów.

Ten z karabinem był młodszy, miał rzadką brodę; nosił spodnie w barwach maskujących i niebieską kurtkę, która bardziej pasowałaby do deszczowego dnia w Nowym Jorku niż do rozpalonej słońcem pustyni.

– Kim jesteś? – spytał ostro.

Abdul szybko wszedł w rolę jowialnego komiwojażera i uśmiechnął się.

– Przyjaciele, dlaczego przeszkadzacie człowiekowi w modlitwie? – powiedział. Mówił płynnym arabskim z libańskim akcentem; w dzieciństwie mieszkał w Bejrucie, a po przeprowadzce do USA, kiedy miał sześć lat, jego rodzice nadal używali w domu arabskiego.

Mężczyzna z pistoletem miał siwiejące włosy.

– Prosimy Boga o przebaczenie za przerwanie twych modlitw – odparł spokojnym tonem. – Ale co robisz tutaj, na środku pustyni? Dokąd jedziesz?

– Sprzedaję papierosy – wyjaśnił Abdul. – Może chcielibyście trochę kupić? Za połowę ceny.

W większości krajów afrykańskich paczka dwudziestu cleopatr kosztowała równowartość dolara. Abdul rzeczywiście sprzedawał je o połowę taniej.

Młodszy mężczyzna otworzył bagażnik samochodu Abdula, wypełniony kartonami cleopatr.

– Skąd je masz? – spytał.

– Od kapitana sudańskiej armii... nazywa się Bilel. – Była to dość wiarygodna historia: wszyscy wiedzieli, że sudańscy oficerowie są skorumpowani.

Na chwilę zapadła cisza. Starszy dżihadysta wydawał się zamyślony. Młodszy wyglądał tak, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy użyje swojego karabinu. Abdul zastanawiał się, czy już kiedykolwiek strzelał z niego do człowieka. Starszy mężczyzna był zdecydowanie spokojniejszy. Strzelałby wolniej, ale precyzyjniej.

Abdul wiedział, że stawką w tej grze jest jego życie. Ci dwaj albo mu uwierzą, albo będą chcieli go zabić. Jeśli

dojdzie do walki, zaatakuję najpierw starszego. Młodszy zdążyłby strzelić, ale prawdopodobnie by chybił. Choć z takiej odległości mógł trafić.

– Ale dlaczego jesteś akurat tutaj? – dopytywał się starszy mężczyzna. – Dokąd właściwie jedziesz?

– Tam dalej jest wioska, prawda? – odparł Abdul. – Nie widzę jej jeszcze, ale pewien człowiek w kawiarni powiedział mi, że znajdę tam klientów.

– Człowiek w kawiarni.

– Wszędzie rozglądam się za klientami.

– Przeszukaj go – polecił starszy swojemu towarzyszowi.

Młodszy zarzucił karabin na plecy. Abdul przez chwilę myślał, że najgorsze zagrożenie minęło, ale wtedy starszy wyciągnął pistolet kalibru dziewięć milimetrów i wycelował w jego głowę, podczas gdy jego kompan prowadził przeszukiwanie.

Ten młody znalazł tani telefon Abdula i podał go swemu towarzyszowi.

Siwiejący mężczyzna włączył aparat i przez chwilę z wprawą naciskał przyciski. Abdul przypuszczał, że sprawdza zapisane kontakty i ostatnie połączenia. Wszystko, co mógł tam znaleźć, tylko potwierdzało historię Abdula: tanie hotele, warsztaty samochodowe, kantory walut i kilka prostytutek.

– Przeszukaj samochód – rozkazał.

Abdul w milczeniu obserwował młodszego mężczyznę, który zaczął od otwartego bagażnika. Wyjął małą torbę podróżną i wysypał jej zawartość na drogę. Nie było tego wiele: ręcznik, Koran, kilka kosmetyków, ładowarka do telefonu. Potem wyrzucił wszystkie papierosy i podniósł wykładzinę, odsłaniając koło zapasowe i narzędzia. Nie zadał sobie trudu, by odłożyć to wszystko na miejsce, i otworzył tylne drzwi. Wsuwał dłonie między siedziska i oparcia foteli, a potem zaglądał pod nie.

Kiedy przeszedł do przodu, zajrzał pod deskę rozdzielczą, do schowka i do kieszeni na drzwiach. Zauważył luźny panel na drzwiach kierowcy i wyjął go.

– Lornetka – oświadczył triumfalnym tonem i Abdul poczuł, jak przebiega go zimny dreszcz. Lornetka nie budziła takich podejrzeń jak broń, ale była droga i do czego mogła się przydać sprzedawcy papierosów?

– Bardzo przydatna na pustyni – wyjaśnił Abdul, starając się zachować spokój. – Sami pewnie też macie.

– Ta wygląda na drogą. – Starszy mężczyzna obejrzał lornetkę. – *Made in Kunming* – przeczytał. – Chińska.

– Zgadza się. – Abdul skinął głową. – Dostałem ją od tego sudańskiego kapitana, który sprzedał mi papierosy. Prawdziwa okazja.

Ta część historii również brzmiała wiarygodnie. Siły zbrojne Sudanu kupowały wiele sprzętu od Chin, które były ich największym partnerem handlowym. Znaczna część tego wyposażenia trafiała potem na czarny rynek.

– Używałeś jej, zanim tu przyjechaliśmy? – spytał podchwytliwie starszy dżihadysta.

– Miałem to zrobić po modlitwie. Chciałem wiedzieć, jak duża jest ta osada. Jak myślicie? Pięćdziesiąt osób? Sto? – Celowo zaniżał liczbę, by uwierzyli, że rzeczywiście nie użył tu jeszcze lornetki.

– Nieważne. I tak tam nie pojedziesz. – Siwiejący mężczyzna zmierzył Abdula surowym spojrzeniem; pewnie się zastanawiał, czy mu uwierzyć, czy go zabić. – Gdzie jest twoja broń? – spytał nagle.

– Broń? Nie mam żadnej broni. – Abdul rzeczywiście nie woził ze sobą broni. Najzwyklejszy choćby pistolet częściej przysparzał tajnym agentom kłopotów, niż ich z nich wybawiał, czego najlepszym przykładem była właśnie ta sytuacja. Gdyby teraz znaleźli przy nim jakąś broń, byłiby pewni, że nie jest niewinnym sprzedawcą papierosów.

– Podnieś maskę – zwrócił się starszy mężczyzna do młodszego.

Ten wykonał polecenie. Abdul przyglądał się temu spokojnie, bo nie ukrywał niczego pod maską samochodu.

– Wszystko w porządku – zameldował po chwili młodzieniec.

– Nie wyglądasz na wystraszonego. – Ten starszy spojrzał na Abdula. – Widzisz, że jesteśmy dżihadystami. Możemy uznać, że lepiej cię zabić.

Abdul odpowiedział mu śmiałym spojrzeniem, potem jednak wzdrygnął się lekko.

– *Inszhallah* – rzucił. Jeśli Bóg tak zechce.

Mężczyzna skinął głową, podjąwszy decyzję, po czym

oddał Abdulowi tani telefon.

– Zawracaj – rozkazał. – Wracaj tam, skąd przyjechałeś.

Abdul uznał, że nie powinien zareagować na to ze zbyt wielką ulgą.

– Ale miałem nadzieję, że sprzedam... – Udał, że woli jednak nie prowokować swoich rozmówców. – Chcielibyście karton?

– Jako prezent?

Kusiło go, żeby się na to zgodzić, ale człowiek, w którego się wcielił, nie byłby tak hojny.

– Jestem biedny... – Westchnął ciężko. – Przykro mi...

– Ruszaj!

Wzruszył ramionami z rozczarowaniem, udając, że porzuca nadzieję na sprzedaż.

– Jak chcecie.

Starszy mężczyzna ruchem ręki przywołał swojego towarzysza i obaj wrócili do pick-upa.

Abdul zaczął zbierać swoje porozrzucane rzeczy.

Kiedy pick-up odjechał z rykiem silnika, Abdul obserwował, jak samochód znika w oddali. W końcu odezwał się po angielsku:

– Jezusie, Maryjo i Józefie... Niewiele brakowało.

*

Tamara wstąpiła do CIA z powodu ludzi takich jak Kiah.

Z całego serca wierzyła w wolność, demokrację i sprawiedliwość, ale na całym świecie atakowano te wartości, a Kiah była jedną z ofiar. Tamara wiedziała, że o sprawy, które najbardziej ceniła, trzeba walczyć. Często myślała o słowach popularnej piosenki *Nobody's Fault But Mine*, wykonywanej między innymi przez Led Zeppelin: *Jeśli umrę, a moja dusza przepadnie, będzie to tylko moja wina*. Każdy jest odpowiedzialny. I choć pierwotnie piosenkę śpiewano jako utwór gospel, a Tamara była Żydówką, to przesłanie dotyczyło wszystkich ludzi.

Tutaj, w Afryce Północnej, amerykańskie siły walczyły z fanatycznymi terrorystami stosującymi przemoc i siejącymi strach. Uzbrojone gangi powiązane z Państwem Islamskim mordowały, porywały i gwałciły Afrykanów, których wyznanie lub pochodzenie nie spotykało się z

aprobatą fundamentalistycznych watażków. Ich brutalność w połączeniu z procesem pustynnienia posuwającym się coraz dalej na południe skłaniały ludzi takich jak Kiah, by ryzykowali życie, przepływając w pontonach przez Morze Śródziemne.

Amerykańska armia, sprzymierzona z francuską i wojskami innych krajów, atakowała i niszczyła obozy terrorystów, gdy tylko mogła je znaleźć.

Ale to właśnie odnalezienie obozów było największym problemem.

Tamara działała na terenie Sahary, która dorównuje wielkością Stanom Zjednoczonym. CIA współdziałało z innymi narodami, by zdobyć jak najwięcej informacji dla atakujących armii. Tab, teoretycznie pracownik misji Unii Europejskiej, w rzeczywistości był oficerem DGSE, Direction générale de la sécurité extérieure, francuskiego odpowiednika CIA. Abdul uczestniczył w tym samym projekcie.

Jak dotąd ich starania nie przynosiły większych rezultatów. Dżihadyści praktycznie bez przeszkód wciąż pustoszyli znaczną część Afryki Północnej.

Tamara miała nadzieję, że Abdul to zmieni.

Nie spotkała go wcześniej osobiście, choć rozmawiała z nim przez telefon. CIA nie po raz pierwszy jednak wysłała tajnego agenta, by szpiegował obozy ISGS, i Tamara знаła poprzednika Abdula, Omara. To właśnie ona odkryła jego ciało, pozbawione dłoni i stóp, porzucone na pustyni. Dłonie i stopy znalazła sto metrów dalej. Tyle właśnie zdołał przeczłagać się na kolanach i łokciach umierający agent, nim wykrwawił się na śmierć. Wiedziała, że będzie ją to prześladowało do końca życia.

A teraz Abdul szedł w ślady Omara.

Kontaktował się co jakiś czas, gdy tylko miał zasięg telefoniczny. Dwa dni temu zadzwonił, by powiedzieć, że przyjechał do Czadu i że ma dobre wieści, które przekaze osobiście. Poprosił o kilka potrzebnych rzeczy i poinformował ich, gdzie mogą go znaleźć.

Teraz już wiedzieli, co ostatnio robił.

Tamara była podekscytowana, ale starała się trzymać emocje na wodzy.

– To może być Hufra – powiedziała. – A nawet jeśli nie,

to i tak fantastyczne odkrycie. Pięciuset ludzi z artylerią na ciężarówkach? To może mieć ogromne znaczenie!

– Kiedy zaatakujecie? – spytał Abdul.

– Za dwa, najpóźniej trzy dni – odparła. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, Francji i Nigru zrównają obóz z ziemią. Spalą namioty i chaty, skonfiskują broń i przesłuchają każdego dżihadystę, który przeżyje bitwę. Za kilka dni wiatr rozwieje popioły, słońce wybieli ubrania i pustynia zacznie brać ten obszar w swoje posiadanie.

A Afryka będzie odrobinę bezpieczniejsza dla takich ludzi jak Kiah i Naji.

Abdul podał dokładne położenie obozu.

Tamara, podobnie jak Tab, trzymała na kolanach notes i zapisywała wszystko, co mówił Abdul. Była pełna podziwu. Nie mogła do końca uwierzyć, że rozmawia z człowiekiem, który tak ryzykował życie i dokonał takiego wyczynu. Robiąc notatki, starała się przyglądać mu przy każdej okazji. Miał ciemną skórę, przyszyżoną czarną brodę i zaskakująco jasnobrązowe oczy o stalowym spojrzeniu. Na jego wychudzonej twarzy wciąż malowało się napięcie; miał dwadzieścia pięć lat, ale wyglądał na więcej. Był wysoki i barczysty; przypomniała sobie, że podczas studiów na Uniwersytecie Stanowym Nowego Jorku walczył jako zawodnik mieszanych sztuk walki.

Wydawało jej się dziwne, że to ten sam człowiek, który w osadzie sprzedawał papierosy. Tamten był sympatyczny, rozmowny, skory do żartów, bezpośredni wobec mężczyzn i kokieterijny wobec kobiet, zapalał wszystkim papierosy czarną jednorazową zapalniczką. Ten mężczyzna był milczący i niebezpieczny. Trochę się go bała.

Podał wszystkie szczegóły trasy, po której poruszała się partia kokainy. Przechodziła przez ręce kilku gangów, trzykrotnie przekładano ją na inne pojazdy. Prócz bazy paramilitarnej Abdul namierzył dwa mniejsze obozy i adresy kilku grup ISGS w mieście.

– To prawdziwa żyła złota – powiedział Tab.

Tamara się z nim zgodziła. Rezultaty działań Abdula przerosły ich oczekiwania i sprawiły jej ogromną radość.

– No dobrze – rzucił Abdul. – Przywieźliście moje rzeczy?

– Oczywiście – odparła. Prosił o pieniądze w miejscowych

walutach, tabletki na problemy gastryczne, które często nękały przybyszów w Afryce Północnej, prosty kompas oraz jedną rzecz, która zadziwiła Tamarę: metr cienkiego tytanowego drutu, przymocowanego po obu stronach do drewnianych rączek. Całość miała być zaszyta we wnętrzu bawełnianej szarfy, jaką tutejsi mężczyźni obwiązywali w pasie swe tradycyjne szaty. Zastanawiała się, czy Abdul im to wyjaśni.

Podawała mu wszystko, o co prosił. Podziękował jej, ale nie wygłosił żadnego komentarza. Rozejrzał się uważnie.

– Czysto – stwierdził. – Skończyliśmy?

Spojrzała na Taba, a ten skinął głową.

– Skończyliśmy – powiedział Francuz.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz, Abdul? – spytała Tamara.

– Tak – odparł, otwierając drzwi.

– Powodzenia! – zawołała za nim, życząc mu tego z całego serca.

– *Bonne chance* – dodał Tab.

Abdul naciągnął niżej chustę, by ocienić twarz, wysiadł, zamknął drzwi i poszedł do wioski, wciąż trzymając w dłoni karton cleopatr.

Tamara zwróciła uwagę na jego ruchy. Nie maszerował prosto przed siebie jak większość Amerykanów, jakby to miejsce należało do niego, lecz jak przystało na człowieka pustyni, nie podnosił zbyt wysoko stóp i pochylał nisko głowę; starał się zużywać jak najmniej sił.

Wciąż była pod ogromnym wrażeniem jego odwagi. Wzdrygała się na myśl o tym, co by się z nim stało, gdyby został schwytany. Ścięcie byłoby najłagodniejszą karą, na jaką mógłby liczyć.

Kiedy zniknął jej z oczu, pochyliła się do przodu i nakazała kierowcy:

– *Yalla*. Jedźmy.

Samochód opuścił wioskę, dojechał zwirową drogą do szosy i skręcił na południe, w kierunku Ndżameny.

Tab czytał swoje notatki.

– To niesamowite – skwitował.

– Powinniśmy przygotować wspólny raport – zaproponowała Tamara, wybiegając myślami naprzód.

– Dobry pomysł. Zróbmy to razem po powrocie, wtedy będziemy mogli przedstawić go w dwóch językach jednocześnie.

Pomyślała, że dobrze im się razem pracuje. Wielu mężczyzn starałoby się przejąć tego dnia dowodzenie. Tab nawet nie próbował zdominować jej rozmowy z Abdulem. Zaczynała go lubić.

Zamknęła oczy. Powoli opadały z niej emocje. Tego dnia musiała wcześniej wstać, a podróż powrotna miała zająć co najmniej dwie godziny. Przez chwilę jej umysł mimowolnie odtwarzał obrazy z bezimiennej wioski, którą właśnie odwiedzili – domostwa z cegieł wypalanych z błota, żałosne ogródki warzywne, długa droga do wody – ale warkot silnika i szum opon przywiodły jej na myśl długie podróże z czasów dzieciństwa, gdy jeździli rodzinnym chevroletem z Chicago do St. Louis w odwiedziny u dziadków, a ona siedziała obok brata na szerokim tylnym siedzeniu. I w końcu, tak jak wtedy, pogrążyła się w głębokim śnie.

Wybudziła się gwałtownie, gdy samochód ostro zahamował.

– *Putain* – zaklął po francusku Tab.

Zobaczyła, że drogę przed nimi blokuje zaparkowana bokiem ciężarówka. W pobliżu stało kilku mężczyzn ubranych w pojedyncze części mundurów i zwykle cywilne okrycia: wojskowa bluza z bawełnianą chustą na głowie, długa szata wyłożona na wojskowe spodnie.

Wszyscy byli członkami grupy paramilitarnej i wszyscy mieli broń.

Ali musiał zatrzymać samochód.

– Co się dzieje, do diabła? – odezwała się Tamara.

– Rząd nazywa to „nieformalną blokadą drogi” – odpowiedział Tab. – To emerytowani albo czynni żołnierze, którzy dorabiają sobie na boku. Ściągają haracz.

Słyszała już kiedyś o „nieformalnych blokadach dróg”, ale po raz pierwszy zobaczyła coś takiego na własne oczy.

– Jaka jest cena? – spytała.

– Zaraz się dowiemy.

Jeden z żołnierzy, wrzeszcząc wściekle, podszedł do okna kierowcy. Ali opuścił szybę i odkrzyknął mu coś w miejscowym dialekcie. Pete podniósł karabin z podłogi, ale

trzymał go na kolanach. Mężczyzna przy oknie pomachał groźnie swoją bronią.

Tab wydawał się spokojny, ale zdaniem Tamary sytuacja wyglądała dość groźnie.

Starszy mężczyzna w wojskowej czapce i dziurawej dżinsowej koszuli skierował lufę karabinu na szybę auta.

Młody Amerykanin zareagował, podnosząc swój karabin do ramienia.

– Spokojnie, Pete – próbował go powstrzymać Tab.

– Nie strzelę pierwszy – rzucił chłopak.

Francuz sięgnął za oparcie krzesła, wyjął z kartonowego pudła T-shirt i wysiadł.

– Co ty robisz? – spytała wystraszona Tamara.

Tab nie odpowiedział. Ruszył do przodu, nie zważając na wycelowane w niego karabiny. Podczas gdy Tamara włożyła pięść do ust, Tab nie wyglądał na wystraszonego. Podszedł do mężczyzny w dżinsowej koszuli, który kierował lufę prosto w jego pierś.

– Dzień dobry, kapitanie – powiedział po arabsku. – Jestem dziś z tymi cudzoziemcami. – Udawał, że jest przewodnikiem albo członkiem eskorty. – Proszę, pozwólcie im przejechać. – Odwrócił się do samochodu i krzyknął, również po arabsku: – Nie strzelajcie! Nie strzelajcie! To moi bracia! – W końcu przeszedł na angielski. – Pete, opuść broń.

Młody kapral z ociąganiem odsunął karabin od ramienia i przyłożył go na ukos do piersi.

Po chwili człowiek w dżinsowej koszuli opuścił broń.

Gdy Tab podał mu T-shirt, mężczyzna wyjął go z opakowania. Był ciemnoniebieski z biało-czerwonym pionowym pasem; po chwili Tamara uświadomiła sobie, że to koszulka Paris Saint-Germain, najpopularniejszego klubu piłkarskiego we Francji. Wojskowy rozpromienił się w uśmiechu.

Wcześniej Tamara zastanawiała się, po co Tab zabrał ze sobą to kartonowe pudło. Teraz wiedziała.

Mężczyzna zdjął starą koszulę i włożył T-shirt.

Atmosfera natychmiast się zmieniła. Żołnierze zgromadzili się wokół swojego dowódcy, przez chwilę podziwiali jego nową koszulkę, a potem spojrzeli wyczekująco na Taba.

– Tamaro, podaj mi, proszę, to pudło – powiedział,

odwracając się do samochodu.

Sięgnęła do tyłu i podała mu karton przez otwarte drzwi auta.

Kiedy dał każdemu po T-shircie, wyglądali na zachwyconych; kilku z nich od razu się przebrało.

Ucisnął dłoń tego, którego wcześniej nazwał „kapitanem”.

– *Ma’a as-salaama* – pożegnał go po arabsku.

Wrócił do auta z niemal całkowicie opróżnionym pudełkiem, zatrzasknął drzwi i zwrócił się do kierowcy:

– Jedź, Ali, tylko powoli.

Samochód ruszył. Zadowoleni gangsterzy skierowali ich na przygotowany specjalnie objazd na skraju drogi, omijający zaparkowaną ciężarówkę. Po drugiej stronie blokady Ali wrócił na drogę.

Gdy tylko koła auta dotknęły betonowej powierzchni, wcisnął pedał gazu i zaczęli oddalać się błyskawicznie od blokady.

Tab odłożył pudełko na tył, a Tamara odetchnęła głośno z ulgą.

– Byłeś taki opanowany! – zwróciła się do Francuza. – Nie bałeś się?

Pokręcił głową.

– Wyglądają groźnie, ale zwykle nie zabijają ludzi.

– Dobrze wiedzieć... – mruknęła.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).